

# Tam gdzie gaśnie świat

Opowieści  
Zmudzi  
TOM 1

Barwnie odmalowująca historyczne realia, osnuta eteryczną magią i z wiarygodnością ożywiająca ludzkie emocje!

To proza obyczajowa o odkrywaniu tożsamości, zakorzenionych w duszy pradawnych wierzeniach oraz niezłomności w walce o swoje dziedzictwo. Magdalena Kawka z pasją i wrażliwością wyeksponowała na kartach swojej książki tajemniczą scenerię Żmudzi — miejsca naznaczonego konfliktami i usilnie pragnącego niezależności.

**Dagmara Łagan, @books.cat.tea**

To opowieść o poszukiwaniu swoich korzeni na tle trudnych, historycznych wydarzeń. Książka przepełniona magią i wierzeniami ludowymi, na kartach której ludzkie tragedie mieszają się z tęsknotami, bolesnymi tajemnicami i niewyjaśnioną przeszłością.

**Anna Jurga, @aannaa\_czyta**

Magdalena Kawka

Tam gdzie  
gaśnie świat

Opowieści  
Zmudzi  
TOM 1

Prószyński i S-ka

COPYRIGHT © Magdalena Kawka, 2025

PROJEKT OKŁADKI: Agata Wawryniuk

ZDJĘCIA NA OKŁADCE: © Designed by Freepik, remuhin/Freepik,  
humedahmad14/Freepik, tohamina/Freepik

REDAKTOR PROWADZĄCY: Anna Derengowska

REDAKCJA: Ewa Witan

KOREKTA: Maciej Korbaśiński

SKŁAD I ŁAMANIE: Ewa Wójcik

DRUK I OPRAWA: POZKAL

ISBN 978-83-8391-091-8

Warszawa 2025

WYDAWCA

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

[kontakt@proszynskimedia.pl](mailto:kontakt@proszynskimedia.pl)

*Dla Czarka – mojego pierwszego i najbardziej  
cierpliwego recenzenta. Jeśli w tej książce jest coś  
prawdziwego, to w dużej mierze dzięki Tobie*



A decorative floral wreath made of ferns and thistles, with ornate scrollwork, framing the text.

Cienie  
w borach  
są starsze  
niż  
królestwa







# ROZDZIAŁ I



Ściągane wodzami konie szły stępą, nerwowo strzygąc uszami, parślały i potrzęsały łbami, z ich sierści unosiła się para. Miały za sobą wiele godzin drogi. Dźwigały jeźdźców w pełnych zbrojach, a mimo to, gdyby im pozwolono, ruszyłyby cwałem, na oślep, nie zważając na zmęczenie i słabnące nogi. Wydawały się nerwowe i niespokojne, jakby coś wisiąło w powietrzu.

A może to wcale nie konie czuły się nieswojo na tej niegościnniej, pogańskiej ziemi, którą trudno było objąć rozumem? Mogły bać się wilków, lecz dlaczego nie okazywały strachu wcześniej, tylko dopiero gdy zostawili za sobą Prusy? Poza tym watahy wilków bywały niebezpieczne w trakcie ciężkich, śnieżnych zim, a teraz zaczynała się jesień.

Leśny matecznik powoli spowijał zmierzch; choć dukt między wysokimi bukami rozjaśniały jeszcze ostatnie rozbłyски zachodzącego słońca, na niebie pokazał się już

miesiąc. Nisko nad podszycem snuła się dziwna żółtawa mgła, owijała się wokół leszczyn i jarzębiny, wspinała po kolczastych jeżynach. Prastary bór oddychał, wypuszczając z ziemi opary rozkładu.

Jeźdźcy otrząsnęli się na ten widok. Mgła wyglądała niepokojąco i niezdrowo; niby pomór rozchodziła się na wszystkie strony, nieustępliwymi mackami już dotykała drogi. Ani ludzie, ani zwierzęta nie chcieli ryzykować spotkania z nią.

– Pospieszmy konie! – krzyknął niespokojnie ktoś z tyłu. – Jeszcze godzina drogi przed nami, lepiej nie błąkać się po ciemku.

– Bracie Zygfrydzie, może wygodniej będzie ci w powozie? – spytał Eryk, młody rycerz, który jechał obok.

Chudy, siwobrody Krzyżak machnął ręką zniecierpliwiony.

– Nie zajmuj się moją wygodą, modlitwę lepiej odmów, na nieszpory do Ragnety już nie zdążymy.

Grupa liczyła pięciu zbrojnych, jednak należałoby powiedzieć, że zbrojnych było czterech. Na przedzie chwiał się w siodle wiekowy brat Zygfryd von Brunnow; mimo że do pasa miał przytroczony miecz, nikt z towarzyszy się nie łudził, że starzec byłby w stanie skutecznie nim władać, nawet gdyby w potrzebie zdołał dobyć go z pochwy. Czas przygarbił mu plecy i odebrał siłę mocarnym niegdyś ramionom, palce powykręcał artretyzm, a mimo to wszyscy współbracia z szacunkiem patrzyli, jak szerokim łukiem omija powóz, który wieźli z Memela, głównie ze względu na niego, i razem z młodszymi o pół wieku od siebie znosi trudy jazdy

wierzchem. Z nieustępliwym wysiłkiem wdrapywał się na wierzchowca i w milczeniu znosił cierpienie, gdy jego stare kości grzechotały na twardym końskim grzbiecie. Sędziwy komtur na zamku w Memelu, członek kapituły generalnej od przeszło trzydziestu lat, przyjął zaproszenie od Konrada Fellensteina, który w Ragnecie kończył wznosić nową twierdzę z kamienia i cegły na miejscu drewnianej warowni. Brat Zygfryd zamierzał dożyć tam swoich dni na modlitwie, a także służąc radą budowniczym. Wiele lat temu jako młody rycerz zakonny uczestniczył we wznoszeniu zamku Jurgenburg i rad był, że zdobyte doświadczenie będzie mógł przekazać bratu Fellensteinowi.

– Krzyżackie warownie nad Niemnem... Jurgenburg, Marienwerder, Bayernburg... – Pokiwał głową, nieoczekiwanie przypominając sobie młode lata. Skrzywił się i cicho syknął, bo zaboląła go ręka; musiał szarpnąć wodze, by powstrzymać niecierpliwego konia. Mgłę zostawili za sobą, ale wierzchowce wciąż były niespokojne. – Co jedna piękniejsza, niektóre murowane. Miały chronić przed zalewem pogańskiej tłuszczy... Bestie z samego dna piekła – dodał z niechęcią i popatrzył na swojego towarzysza. – Wieść niesie, że twierdza w Ragnecie już potężna, choć dopiero trzeci rok idzie, jak wielki mistrz dał pozwolenie na rozbudowę. Ciekawym jej bardzo. Na tobie, bracie nowicjuszu, zapewne wrażenia nie robi. Marienburg, nasz zamek w Memelu, Mergentheim... Jesteś gościem zakonu, dużo podróżujesz i pewnie wieleś zamków już widział.

Erykowi przed oczami stanął niepozorny zamek Oostkerke, w którym przez chwilę był szczęśliwy. Wzdrygnął

się. Minęły już cztery lata, a on wciąż widział w snach smukłą postać Greta, jej słodkie usta, włosy jasne jak pszeniczne łany. I pociemniałe z przerażenia oczy, gdy w Brugii skazano go na śmierć.

– Macie, bracie, rację, wiele zamków widziałem. Lecz bardzo jestem ciekaw tutejszych – dodał, próbując się otrząsnąć ze wspomnienia, które nagle go dopadło. – Zapewne trudno tu budować, słyszałem, że kraina to dzika, nieprzystępna i bagnista. W Marienburgu przestrzegali, by mieć się na baczności, bo żyje tu lud nienawykły do walki w otwartym polu. Mówili, że po lasach się czai i napada na braci zakonnych.

– Kiedyś był w Marienburgu?

– Przybyłem wczesnym latem z listami od arcybiskupa Moguncji, ale już nie zastałem wielkiego mistrza. Dwie niedziele wcześniej wyruszył z wojskami na Żmudź. Żałuję, że nie zdążyłem, może bym się na co przydał, jakby Najświętsza Panienka pozwoliła. Znam trochę tutejszy język, miałem piastunkę z Auksztoty, ojciec przed laty przywiózł ją z wyprawy na Wielonę.

W odpowiedzi Zygfryd von Brunnów tylko mruknął coś niezrozumiale. Nie zamierzał się dzielić swoim sceptycyzmem z tym młodzikiem, który mleko jeszcze miał pod nosem, a tym bardziej nie chciał podważać autorytetu wielkiego mistrza Konrada von Jungingena. Wyprawa na Wielonę, najazdy na Auksztotę, bezsensowne napady, wieczne wojny i nadaremne próby opanowania Żmudzi od niemal stu lat – tyle zachodu i wysiłku, a jakby niczego się nie nauczyli, wciąż przegrywali w starciu z ludem, który w niczym im nie dorównywał.

Stary komtur nie potrafił pojąć, jak można było poprowadzić tak nieudolną rejzę. Wieść o niej dotarła do Memela kilka niedziel temu, wraz z posłańcami, i stąd wszyscy wiedzieli, że poniesiono klęskę. Oczywiście oficjalnie nikt tego nie mówił, ale jakże inaczej nazwać najazd potężnych wojsk krzyżackich prowadzonych przez samego wielkiego mistrza, które musiały zadowolić się szkodami w zasiewach zbóż i niewielkimi stratami w ludziach przeciwnika? Żmudzini bowiem, doświadczeni w poprzednich najazdach, rozpiezchli się po torfowiskach, lasach i gajach, wymykając się najeźdźcom. I tyle było potęgi wielkiego zakonu. Jak walka z pchłami za pomocą włóczni. Brat Zygfryd zamyślił się, niechętnie wracając pamięcią do wydarzenia, które w duchu dobitnie nazywał porażką.

Przez chwilę jechali w milczeniu, obserwując ciemniejący las. Słyszać było tylko szcęk zbroi i ciche parskanie koni.

Niezrażony brakiem odpowiedzi Eryk usiłował wrócić do tematu.

– Wiele słyszałem o żyjących tu ludziach...

Brat Zygfryd przerwał mu stanowczo.

– To nie ludzie, to barbarzyńcy. Żyją po lasach, śpią pod gołym niebem i parzą się, kiedy tylko przyjdzie im na to ochota, nawet na oczach dzieci. Są jak zwierzęta, napędza ich głód i chuć. Ich niewiasty chodzą z obnażonymi piersiami i wydają na świat potomstwo w strumieniach. Jedzą korę drzew, a na rany przykładają robactwo i pajęczę sieci. – Na pooranej głębokimi bruzdami twarzy komtura pojawiło się obrzydzenie.

– Jednak to stworzenia Boże...

– Pan Bóg stworzył również szczury i pluskwy. – Zygfryd spojrzał karcąco na młodzieńca. – Czy to oznacza, bracie Eryku, że pozwalasz pluskwom, by cię kąsały, a ze szczurem dzielisz się jadłem?

Eryk zbierał się właśnie, by odpowiedzieć, że pośród pluskiew i szczurów trudno głosić Słowo Boże, a każdy człowiek, nawet najbardziej lichy i marny, został stworzony na boskie podobieństwo i jest miły Panu, trzeba tylko poganinowi wskazać drogę do Niego. Lecz zanim zdążył się odezwać, gdzieś z głębokich ostępów dał się słyszeć przeciągły, jękliwy głos, który po chwili zamienił się w skowyt. Przestraszone konie stanęły dęba i zaczęły nerwowo dreptać w kółko. Wielki komtur ledwie zdołał utrzymać się w siodle, gdy jego rumak uniósł się na tylnych nogach.

– Wilki? – Eryk usiłował wypatrzeć żółte ślepie wśród drzew.

– Coś znacznie gorszego... – odpowiedział z trwogą jeden z knechtów, rozglądając się niespokojnie.

Eryk odruchowo położył dłoń na mieczu, lecz tamten tylko pokręcił głową.

– Na tego demona, panie, żadna ziemська broń nie poradzi. To istota z piekła rodem. Wygląda jak niewiasta, ale ma wilcze zęby i nie zna ludzkiej mowy. Umie pojawiać się w trzech miejscach jednocześnie... Nie chodzi, jeno unosi się nad ziemią, a towarzyszy jej wataha wilków. Kto ją zobaczy, już nigdy nie zgłosi się pod bramę do Świętego Piotra. Po wiek wieków z piekła nie wyjrzy. Niedaleko

stąd, tam, gdzie Dubissa łączy się z Niemnem, zasadziła się na komtura domowego z Gotteswerder, który wraz z załogą zmierzał do Prus. Ocalał tylko brat Rydygier... – Mężczyzna pochylił się i poklepał po pysku niespokojnego konia. – Błąkał się po lasach, aż w końcu znaleźli go rycerze księcia Witolda. Oszałał, ślepią na wierzch mu wylazły i gadał jak obłąkany, że głowy zabitych w lasach widział, jak przechadzały się na pajęczych nogach. Powtarzał, panie, że odkrył wrota do piekieł, a strzeże ich wilcza niewiasta. Ludzie powiadają, że ze zmarłymi potrafi rozmawiać. – Knecht trwożliwie ściszył głos. – Przycho-dzą do niej, kiedy Pan Bóg ich do rajy nie chce wpuścić, i wypłakują swoje żale. Przysięgam, panie, to najświętsza prawda! Brat Rydygier ponoć rozmawiał ze swoim ojcem, co żonę zatłukł siekierą, a potem się obwiesił. Mówił, że za grzechy żałuje...

– Nie bluźnij, głupcze! – krzyknął Zygfryd.

Wycie umilkło, za to z gęstwiny dobiegł kobiecy śmiech. Brzmiał jasno i perliście, lecz jednocześnie dźwięczały w nim jakieś straszne tony, jakby nie wychodził z ludzkiego gardła. Z drugiej strony lasu odpowiedziało mu przeciągłe zawodzenie.

Nie czekając dłużej, jeźdźcy spięli konie i rzucili się przed siebie, byle dalej od tych upiornych odgłosów. Konie przebiegły galopem jeszcze kawałek, ale nieoczekiwanie cała drużyna została zatrzymana przez dwa wielkie dęby zagradzające trakt. Leżały w poprzek drogi, jakby ktoś z całą mocą wyrwał je z ziemi i nie sprawiło mu to najmniejszego trudu. Potężne, poskręcane korzenie,

grubsze niż ramię dorosłego mężczyzny, celowały w niebo, oblepione wyschlą już ziemią. Po obu stronach traktu widniały dwie ogromne dziury, w każdej zmieściłby się wóz zaprzęzony w woły. Musiała tedy przejść potężna burza, bo pomniejsze drzewa też leżały pokotem.

Eryk von Löwenstein po raz pierwszy poczuł niepokój, a jego niedawny entuzjazm nieco przygasł. Nagle opowieści, które słyszał od wędrownych wagantów, że między Prusami a Auksztotą żyją po lasach na wpół dzicy ludzie, którzy nie znają Chrystusa, obcują z duchami i leśnymi stworami, a swoim bogom składają ofiary, zdały mu się bardziej przerażające niż ciekawe.

Bystre, młode oko w półmroku dostrzegło wydeptaną w podszycie ścieżkę wiodącą w las.

– Tędy! – rzucił, wskazując dłonią. – Okrążymy przeszkołę.

– Stój, panie! – krzyknął jeden z rycerzy, przyglądając się oparom żółtej mgły, która znów się pojawiła. Wylewała się spomiędzy drzew, tym razem przebijało spod niej jakieś światło. – Dalej tylko trujące torfowiska, tam nie wolno! Brat Rydygier powiadał, że to siedlisko wilczej niewiasty, lepiej...

– Z brzegu objedziemy – wtrącił zniecierpliwiony Zygfryd von Brunnow, kierując konia między krzewy tarniny. – Dość tych zabobonnych bredni. Bogu powierzyliśmy nasze życie i Przenajświętszej Panience.

Był zły na współtowarzyszy, że ulegają emocjom i dają się ponieść wyobraźni karmionej nieprawdziwymi historjkami tchórzliwych braci, którzy zapewne nigdy nosa



nie wyściubili poza zamkowe mury. Złościły go niestworzone historie powtarzane w sekrecie przez żadnych sensacji młodych zakonników traktujących je jak bajki opowiadane na dobranoc przez afektowane piastunki. Czuł coraz większe zmęczenie, chciał wreszcie rozprostować stare kości na miękkim sienniku, napić się wina i zaspokoić głód. Marzył o ogniu trzaskającym w kominku i dość już miał głupiego gadania o upiorach. Od kiedy dwa dni temu wyjechali z Memela, nasłuchiwał się opowieści o barbarzyńcach.

– To poganie, zwykłe dzikusy, a nie istoty o nadprzyrodzonych mocach. Jak spotkacie tę wilczą niewiastę – zwrócił się z sarkazmem do rycerzy – to łeb jej utnijcie. A teraz jazda! – krzyknął i cała czwórka zagłębiła się w las.

W jednej chwili spowił ich mrok.

Pierwsza strzała trafiła starego komtura prosto w policzek. Druga przeszła mu nos i wyszła koło ucha. Ból był porażający, przed oczami von Brunnowa w jednej chwili wybuchły złote rozbłyski. Nie zdążył nawet się zdziwić, kiedy z brzękiem zbroi zsuwał się z konia. Kątem lewego oka zdołał jedynie dostrzec jakąś białą postać majaczącą na tle ciemnych drzew. Próbował wymacać ręką miecz, lecz nagle ogarnęła go słabość. Poczuł, że spada w przepaść.

Brat Eryk ściągnął cugle. Słyszał wrzaski i odgłosy szamotaniny, gdzieś koło niego świsnęła strzała, jednak chybiła o włos. Zawołał towarzyszy, ale nikt mu nie odpowiedział. Koń nerwowo kręcił się w kółko, parskając i nadstawiając uszu.

Z oddali znów dobiegł skowyt, a po kilku chwilach zmienił się w upiorne, urywane zawodzenie. Trudno było zgadnąć: ludzkie czy zwierzęce, i nie wiadomo, które bardziej straszliwe.

Wzrok nie potrafił przebić się przez czerń ogarniającą las. W tej jednej sekundzie Eryk poczuł strach. Zimny, zwierzęcy strach. Gorączkowo usiłował szukać Boga w głowie i w sercu, wszakże nie znalazł tam otuchy. Strzały świstały z prawa i z lewa, jakby posyłał je oddział łuczników, lecz w zasięgu wzroku nikogo nie było widać. Krzyknął jeszcze kilka razy, nerwowo rozglądając się w poszukiwaniu brata Zygfryda, jednak w tym momencie spłoszony koń skoczył na oślep w gęstwinę i puścił się przed siebie.

Gałęzie siekły Eryka w twarz, pochylił głowę, by osłonić oczy. Mógł tylko się modlić i mieć nadzieję, że jego rumak widzi w ciemnościach lepiej niż on sam. Na szczęście strzały przestały śmigać, już nie słyszał ich świstu. Próbował zatrzymać konia, lecz w tego jakby szatan wstąpił, parł naprzód, nie dając się opanować. Erykowi pozostało jedynie czynić wysiłki, by utrzymać się w siodle.

W końcu las się przerzedził, a potem przeszedł w rozległą płaską przestrzeń z wystającymi gdzieś kępami traw i pojedynczymi kikutami ogołoconych z liści brzoź, oświetloną niebieskim blaskiem księżyca. Na horyzoncie rysował się czarny bór. Nad kępkami trawy unosiła się żółta mgła. Zdyszany rumak wreszcie przystanął, parszając, zdezorientowany rozciągającą się przed nim

pustką. Dyszał ciężko i chrapliwie. Zrobił krok naprzód i nieoczekiwanie stracił grunt pod nogami.

A potem wszystko nastąpiło równocześnie: zamglone świetliste postacie, przeraźliwe rżenie, rozpaczliwa próba wydobycia się z bagna i w końcu beznadziejna rezygnacja.

Eryk, w przeciwieństwie do konia, nie zamierzał się poddawać. Wyrzucił ręce w górę, usiłując wydostać się z siodła. Utrudniał mu to gruby i ciężki kirys. Wiedział, że nie pomoże już koniowi, teraz próbował ratować siebie. Nie zamierzał tu umierać. Nie po to musiał znosić ból rezygnacji z dawnego życia i ukochanej Grety, by teraz w tak bezsensowny sposób zakończyć żywot w tym cuchnącym trzęsawisku.

Szarpnął się kilka razy z wściekłością, lecz nadal zapadał się razem z koniem; rozpaczliwe próby wydostania się nie przynosiły efektu. Czuł, jak wilgotne, stęchłe bagno wciąga go coraz głębiej, dostaje się do ust i nosa. Gorączkowo szukał wzrokiem jakiejś gałęzi, konara, cze-gokolwiek, co pozwoliłoby mu uniknąć śmierci, ale z każdą chwilą tracił nadzieję na ocalenie...

W ciemności błysnęły żółte ślepie jarzące się upiornym blaskiem. Pionowa czarna żrenica otwierała się jak otchłań bez dna. Eryk poczuł przy policzku ciepły oddech i zobaczył długi wilczy pysk. Do ust już wlewało mu się błoto. Przez głowę przebiegła gorzka myśl, że Pan Bóg ma osobliwe poczucie humoru, skoro w ostatniej chwili życia daje mu wybór: może umrzeć rozszarpany wilczymi kłami albo utopić się w bagnie.